

S 53

[19]

BIBLIOTEKA

ZARZĄDU GŁÓWNEGO

LIGI MORSKIEJ I KOLONIALNEJ

<http://rcin.org.pl>

OPLATA POCZTOWA RYCZAŁEM

Nr. 19 BIBLIOTECZKA Nr. 19
HISTORYCZNO - GEOGRAFICZNA

PROF. DR. ST. NOWAKOWSKI.

Z CYKLU „ZDOBYWCY I ODKRYWCY ŚWIATA”

KAPITAN SCOTT

Dzieje wyprawy do bieguna południowego.



CBGiOŚ, ul. Twarda 51A
tel. 22 69-78-773



Wa5150281

CENA **30** GROSZY.
<http://rcin.org.pl>

OD REDAKCJI.

1. Wielu czytelników skarży się na niedbałe adresowanie książeczek. Informujemy, że, w myśl przepisów pocztowych, książeczki są ekspedjowane bez adresów do poszczególnych urzędów, które posiadają listę prenumeratorów. Adresy te więc są wpisywane ręką listonoszy.

2. Dokładność doręczania druków znacznie pogorszyła się po 1-ym stycznia z powodu wprowadzenia nowej ustawy pocztowej. Obiecują nam szybką poprawę stosunków.

3. Pojedyncza nasza książeczka wynosi w prenumeracie cenę dziennika. Obecnie więc od 5-go stycznia prenumerata wynosi 2 zł. 6) gr. Przy pominamy wezwanie z książeczki Nr. 16, dotyczące dopłacenia 65 gr. przez tych czytelników, od których przedpłatę w sumie 1 zł. 95 gr. otrzymaliśmy po 5-tym stycznia.

4. Niektóre pisma, którym posłaliśmy w grudniu r. z. ogłoszenia, powtarzają je teraz bez naszej wiedzy, podając w tekście 1 zł. 95, co może w błąd wprowadzić czytelników.

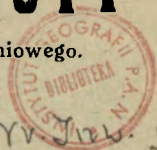
5. Odpowiadamy wyczerpująco na każdy list, ale tylko wtedy, gdy załączony jest na odpowiedź znaczek 15 gr.

PROF. DR. ST. NOWAKOWSKI.

Z CYKLU „ZDOBYWCY I ODKRYWCY ŚWIATA”

KAPITAN SCOTT

Dzieje wyprawy do bieguna południowego.



120
I

Nr 126. 5.53
~~120.369.~~

*Nie kłamać —
bawiąc.*



*Nie nudzić —
ucząc.*

T-wo Wyd. „Rój”, Warszawa, Kredytowa 1.
Konto czek. P. K. O. 9880.

<http://rcin.org.pl>

Arktyka

Prof. dr. Nowakowski z katedry „odkryć geograficznych” w Clark University w Worcester, obecnie dyrektor zakł. geogr. Uniwersytetu Poznańskiego, w 1-ej książce cyklu, o z d o b i o n e j d w o m a i l u s t r a c j a m i i m a p k a; podaje wstrząsające szczegóły wyprawy kapitana Scotta w 1912 r. do bieguna południowego, wyprawy, zakończonej zwycięstwem i tragiczną śmiercią zamarzającego wśród lodów wracającego podróżnika. List jego do społeczeństwa, pisany drętwiejącą ręką i znaleziony przy trupie przez ekspedycję ratunkową, jest jednym z najpiękniejszych dokumentów, jakie posiada ludzkość.

Zróżdła niniejszej pracy:

Scott Robert. The Voyage of the Discovery. 2 vols London. 1905.

Scott Robert. Scott's Last Expedition. 2 vols.. London. 1913.

Shackleton Ernest. The Heart of the Antarctic. 2 vols. London 1909.

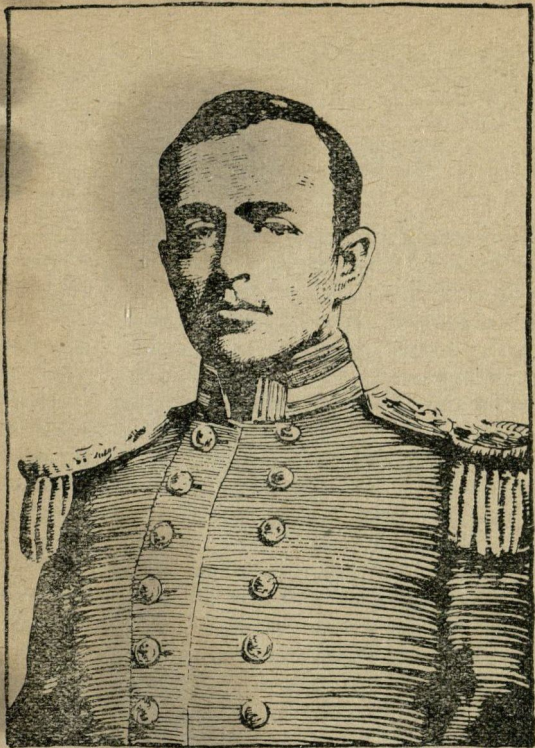
Markham Clements.. The Lands of Silence. Cambridge. 1921.

Greely A. W. Handbook of Polar Discoveries. Boston. 1909.

Bruce W. S. Polar Exploration. New York 1911.

Dalsze książeczki powyższego cyklu:

1. Pierwsi badacze Japonji. 2. Zdobycie Syberji. 3. Tragedja „Jeanetty”. 4. Podróż Cooka. 5. U progu szóstego kontynentu. 6. Ernest Shackleton. 7. Dawid Livingston. 8. Henryk Stanley. 9. Odkrycie Australji. 10. Współcześni polscy geografowie i podróżnicy. 11. Zwycięstwo Ameryki u bieguna północnego.



Kapitan Scott.

6/VI 1868 — 25/IV 1912.

<http://rcin.org.pl>

ROBERT SCOTT I OKRĘT DISCOVERY.

Poznanie i zdobycie ziemi pochłonęło nie-
mało trudów, cierpień, poświęceń i ofiar.
I wśród tych bohaterów, którzy złożyli swe
siły i życie na ołtarzu wiedzy, wyróżnia się
jaskrawo jedno imię, tak mało znane u nas
w Polsce, a związane z tak romantycznym
życiem i tragiczną śmiercią, imię angielskie-
go kapitana Scotta.

Robert Scott, młody kapitan, pełen mło-
dzieńczej energii, żelaznej woli, płonącego
entuzjazmu, radości życia, zamiłowania do
badań geograficznych, żyjący nadzieją zdo-
bycia bieguna południowego, śmiało, bez
strachu, z głęboką wiarą w zwycięstwo, wy-
rusza w daleką podróż. Dosięga do celu,
zatyka sztandar ojczyzny u bieguna i w po-
wrotnej triumfalnej drodze ginie wśród lo-
dów południa. Historia badań polarnych,
obejmująca już przeszło cztery stulecia,
jest obfitą w przykłady niezrównanej ener-
gji, okrutnych cierpień, nadzwyczajnych
przejsć i przygód, męczeństwa, a nawet
i śmierci. Lecz jednakże w historii kapita-

na Scotta, w historii jego życia i tragicznej śmierci jest coś, co zwraca wyjątkową uwagę, jest coś, co czyni ją jedyną w swym rodzaju, czy to ze względu na heroizm i tragiczny zgon Scotta i jego wiernych towarzyszy, czy też ze względu na samą postać bohatera, pełnego młodości i sił, bez żalu, bez jęku ginącego w chwili swego zwycięstwa.

Robert Scott urodził się 6 czerwca 1868 roku w Devonport, przedmieściu m. Plymouth, położonego na południowych wybrzeżach Anglii. Po ukończeniu szkół w Forham, mając zaledwie 14 lat, wstępuje do marynarki wojskowej. Będąc kadetem na statku „Britanja“, Scott wyróżnił się z grona swych młodych towarzyszy — śmiałością, pracowitością, szlachetnością, wielką inicjatywą i miłością do ludzi. Już od najmłodszych lat zarysowują się te wszystkie zalety, które później tak wybitnie cechowały kapitana Scotta.

W celach dalszej specjalizacji, zostaje Scott wysłany na dalekie południe Afryki, na przylądek Dobrej Nadziei. Tam nieustrudzenie pracując, spędza trzy lata i powraca do ojczyzny, jako młodzieniec krzepki, energiczny, któremu w głowie się palą

śmiało i podbójcze plany. W gronie rodziny, jako prawdziwy marynarz z powołania, bawi niedługo, ponieważ zostaje wysłany na ćwiczenia na odległe wyspy oceanu Spokojnego.

Daleka podróż, czarująca przyroda krajów zwiedzanych, bezbrzeżność wód oceanu, pogłębiają w nim, jakby wrodzoną miłość do morza i jego poczucie piękna przyrody. Jeszcze bardziej rośnie zamiłowanie do dalekich i niebezpiecznych podróży. Z tych ćwiczeń powraca Scott jako zupełnie już wyszkolony marynarz, w randze porucznika, i poświęca się dalszym studjom z zakresu marynarki wojennej.

Wreszcie po upływie ośmiu lat, zostaje przydzielony na okręt wojenny „Majestic”. Dzięki takiemu zaszczytnemu awansowi, znalazł się Scott wśród całego szeregu znanych badaczy krajów podbiegunowych. Towarzyski, pełen humoru i życia, Scott wkrótce zaprzyjaźnia się z ludźmi, ongiś biorącymi udział w wyprawie słynnego podróżnika Leopolda MacClintock'a, któremu po nadzwyczajnych trudach udało się odszukać szczątki słynnej przez swój tragiczny epilog ekspedycji polarnej Franklina. Całe to nowe otoczenie Scotta, składające się przeważnie z ludzi, mających poza sobą wiele za-

ślug, liczne znoje dalekich podróży, nie mogło nie wyrzeć na wrażliwą duszę młodego porucznika wielkiego wrażenia, nie mogło nie rozbudzić w nim silnej chęci — samemu z czasem zostać herosem tych półlegendarnych omal opowieści o penetrowaniu tych nieznanych jeszcze zakątków świata.

Długo czekał na ziszczenie się swych młodocianych marzeń. Wreszcie jednak godzina Scotta wybiła, a czyny jego pokryła nieśmiertelna sława. Okryła ona nietylko nazwisko swego wybrańca — ale wraz z nim i imię jego ojczyzny i sztandar jego, nadeszły wszystko ukochanej, marynarki.

Pogodny, spokojny tryb życia Scotta na „Majestic“ zostaje naruszony, ponieważ zjawiają się niespodziewane kłopoty rodzinne. Kilka śmierci najbliższych w rodzinie i straty finansowe nakładają na niego nieznane mu dotąd brzemie — opiekuna rodziny.

Żołd Scotta nie mógł sprostać tym nowym obowiązkom. Wszystko to zmusza go do szukania jakiegoś nowego, bardziej intrygującego zarobku. W tym celu wyrusza on do Londynu, do tego wielkiego miasta, miasta wielkich możliwości. Los mu sprzyjał. W tym samym bowiem czasie, Królewskie

Towarzystwa stał Klemens Markham (1830—
dzo poważnie z zamiarem wysłania wypra-
wy do bieguna południowego. Taki projekt
powstał w 1893 roku. Chociaż na czele tego
Towarzystwa stał Klemens Markham (1830—
1916), jeden z najwybitniejszych geografów
i podróżników angielskich XIX wieku, jed-
nak sprawa tej wyprawy posuwała się po-
woli. Wreszcie 12 kwietnia 1897 roku Kró-
lewskie Towarzystwo Geograficzne osta-
tecznie zdecydowało się podjąć poważne
kroki, ku wypełnieniu planu antarktycznej
wyprawy. Jednakże przeszkód było wiele,
najważniejszą z nich był brak środków ma-
terjalnych. W celu zebrania potrzebnych,
dość znacznych funduszy, zostały wydane
odezwy do społeczeństwa, urządzone od-
czyty propagandystyczne, wysyłane listy do
najbogatszych osób. Jako wynik całej tej
akcji, dzięki niezłomnej energii Markhama,
udało się zebrać 14.000 funtów. Była to
jednak suma zupełnie niewystarczająca.
Wreszcie 24 marca 1899 roku, p. Longstaff
ofiarowuje na cel wyprawy 25.000 funt.
szter. Następnie i skarb państwa, po pe-
wnych wahaniach, postanowił wyasygnować
na potrzeby tej wyprawy 40.000 funt. szter-
lingów. Zebrane w ten sposób środki umo-
żliwiły Towarzystwu Geograficznemu zaku-

pienie specjalnego statku „Discovery“ (Odkrycie).

Kości były rzucone.

Błądząc po ulicach Londynu, Scott przypadkowo spotkał Markhama, którego znał oddawna. Markham, mając nadzwyczajną zdolność poznawania ludzi, natychmiast wyłożył mu swój plan, proponując stanąć na czele wyprawy. Jednakowoż wrodzona skromność nie pozwoliła mu przyjąć tak odpowiedzialnego stanowiska. Lecz w końcu, ulegając namowom Markhama, Scott zdecydował się wnieść swoje podanie do zarządu Tow. Geograficznego, zgadzając się stanąć na czele wyprawy. Pomimo złożenia swego podania, nie był pewnym pomyślnego wyniku, gdyż liczba kandydatów była bardzo znaczna. Ku wielkiemu swemu zadowoleniu Scott został 9 czerwca 1900 roku mianowany kierownikiem wyprawy, zawdzięczając to nie tylko gorącemu poparciu Markhama, lecz i nadzwyczaj pochlebnym świadectwom, jakie były o nim wydane, przez jego zwierzchników. Na czele takiej wyprawy mógł stanąć człowiek tylko młody, silny duszą i ciałem, człowiek wielkiej inteligencji, niezłomnej woli i odwagi. Scott w zupełności odpowiadał wszystkim tym wymogom, licząc za ledwie lat 30, a odznaczając się silną budo-

wą ciała i dobrem zdrowiem, był również człowiekiem wszechstronnie wykształconym, o wielkiej energii, która wyraźnie przebijiała się niemal w każdym jego ruchu. Jednym słowem, był to człowiek pod każdym względem odpowiadający wszystkim warunkom kierownika wyprawy.

Od czasu nominacji Scotta zaczyna się spieszna praca nad ostatecznym przygotowaniem wyprawy, która pochłania prawie cały rok. Oddał się jej Scott z całą namietnością, ponieważ zdawał sobie sprawę z tego, iż od tej żmudnej pracy zależy nie tylko pomyślność wyprawy, lecz także i życie jej członków. Spraw do załatwienia było nie mało. Przedewszystkiem trzeba było zaangażować oficerów wyprawy, dobrać odpowiednie grono uczonych badaczy, wreszcie zebrać załogę.

W krótkim stosunkowo czasie przy cennej pomocy Markhama i Admiralicji byli zaangażowani to tej wyprawy bardzo zdolni, doświadczeni i bardzo wykwalifikowani oficerowie marynarki wojennej. Starszym oficerem i pierwszym pomocnikiem Scotta został mianowany porucznik Albert Armitage, były członek znanej arktycznej wyprawy Jacksona (1894—1897). Między resztą oficerskiego zespołu obowiązki były podzielone

w sposób następujący: porucznik C. Royds—sposzrzeżenia meteorologiczne, porucznik M. Barne—obserwacje oceanograficzne, porucznik R. Skelton — zdjęcia fotograficzne. Bez określonych obowiązków był zaangażowany młody porucznik marynarki handlowej Ernest Shackleton, później znany jako samodzielny badacz Antarktydy. Oprócz tego organizatorom wyprawy udało się zaprosić cały szereg następujących wybitnych uczonych: Dr. Koettlitz — zdolny lekarz i namiętny przyrodnik, znany z wyprawy Jacksona, Dr. E. Wilson — bardzo utalentowany artysta-malarz i przyrodnik, L. Bernacchi — fizyk, T. Hodgson — zoolog, H. Ferrar — geolog. Co się zaś tyczy załogi, to angielska Admiralicja, uznając całą doniosłość wyprawy, przydzieliła 22-ech najlepszych marynarzy, z tych, którzy wyrazili chęć wzięcia udziału. Admiralicja, idąc ze swą pomocą jeszcze dalej, udzieliła wyprawie wszelkich instrumentów niezbędnych dla badań naukowych, przeważnie z dziedziny meteorologii, oceanografji i sejsmografji.

Organizacja więc personalna wyprawy była bardzo pomyślnie zakończona. Pozostawała jeszcze do załatwienia bardzo poważna sprawa a mianowicie: zaopatrzenie załogi w żywność. W owym czasie nie wiado-

mo jeszcze było, że na obszarach mórz i wybrzeży Antarktydy można w obfitej ilości dostać świeżego i dobrego mięsa fok i bezłotków. To też z Ameryki i Norwegji sprowadzono wszystkie potrzebne zapasy w ilości dostatecznej dla 3-ech letniego przebywania na obszarach polarnych. Jeżeli wszyscy cieszyli się następnie dobrem zdrowiem w ciągu całej wyprawy, to jedynie zawdzięczając tej staranności, z jaką Scott zaopatrzył spiżarnię.

Wreszcie bezustanne i staranne przygotowania były zakończone. 16 lipca, kiedy „Discovery“ był gotów wyruszyć w drogę, Biskup Londyński odwiedził pokład i, odprawivszy uroczystą mszę, pobłogosławił wyprawę, życząc szczęśliwego powrotu. Wyprawa ta była tak popularna w Anglji, pokładano tyle nadziei w jej pomyślnym wyniku, iż sam król z królową odwiedzili okręt w czasie jego pobytu w porcie Cowes, aby osobiście pożegnać członków wyprawy i złożyć im życzenia zupełnego zwycięstwa. 6 sierpnia 1901 roku „Discovery“ opuszcza brzegi Anglji, aby do jej bogatej historii, po odkryciu nowych nieznaných skrawków świata, dodać jeszcze nowe trofea.



The Discovery.

<http://rcin.org.pl>

PIERWSZE DWA LATA W LODACH.

Porzuciwszy Anglję, „Discovery“ skierował się do Nowej Zelandji, dokąd przybył 30 listopada. Okazało się, iż okręt wymagał pewnej reparacji, więc w porcie Lyttelton zatrzymano się na cały prawie miesiąc. 21 grudnia, bardzo serdecznie żegnany przez miejscową ludność, „Discovery“ wyruszył w dalszą podróż. 3 stycznia 1902 roku, przekroczone koło bieguna południowego i „Discovery“ wstąpił w sferę wód Antarktycznych, a niebawem i ławicy lodowej. Z trudem torując sobie drogę wśród lodów, „Discovery“ posuwa się naprzód a po tygodniu wyzwala się z gęstej ławicy i wchodzi w otwarte morze. 9 stycznia, u przylądka Adare, Scott ląduje po raz pierwszy na wybrzeżach Antarktydy, lecz po krótkich wycieczkach, wraca na okręt i płynie dalej, badając wybrzeża Ziemi Wiktorji. Następnie 22 stycznia powtórnie wylądowuje u stóp góry Terror. Stąd Scott skręca na wschód, dokładnie badając przebieg krawędzi Wielkiego Przedmurza Rossa. Idąc w tym kierunku, Scott dociera do nieprzystępnych lodowych wybrzeży, dotąd nieznaney mu ziemi, o której pierwsze mętne wiadomości dał słynny antarktyczny podróżnik Ross, z cza-

sów jego wyprawy 1839—1843. Tę odkrytą przez siebie część Antarktydy Scott mianuje Ziemią Króla Edwarda VII. Nie znalazłszy tam odpowiedniego miejsca na leże zimowe okrętu, Scott powraca do zundu Mac Murda, gdzie 10 lutego, obrawszy dogodne miejsce, zatrzymuje się na postój zimowy. Przedewszystkiem były przedsięwzięte starania, aby jak najlepiej zabezpieczyć „Discovery“ przed uwięzieniem lodowem; następnie na wybrzeżu, zbudowane zostały składy i schroniska dla zwierząt, jednym słowem poczyniono staranne przygotowania do należytego spotkania surowej zimy. Skoro wszystko zostało skończone, zaczęły się mniejsze i większe wycieczki członków wyprawy, którzy podzielili się na kilka oddziałów w celach szczegółowego zbadania przyległych okolic.

Pierwsza największa wyprawa lądowa miała się odbyć na czele z kapitanem Scottem, w kierunku przylądka Crozier. Nie szczęśliwy jednak wypadek, wskutek którego Scott stłukł sobie kolano, zmusił go do pozostania na okręcie. Wzamian na czele wycieczki stanął porucznik Royds, który 4 marca wyruszył w drogę w towarzystwie Skeltona, Koettlitzza, Barne'a i 8-miu ludzi. Ponieważ tak wielki oddział uniemożliwiał

podróż na znacznieszą odległość, więc 8-miu członków (Wild, Weller, Heald, Plumley, Quartley, Evans, Hare i Vince) na czele z por. Barne, zostali odesłani z powrotem. 11 lutego, kiedy przybliżali się do okrętu, zerwała się okrutna śnieżycą. Walcząc przebijali się naprzód, lecz wkrótce zostali wykolejeni z właściwej drogi. Gdy tylko się rozjaśniło, zauważyli, iż znajdują się na stromej pochyłości nad samym brzegiem przepaści. Znowuż raptowny poryw burzy — Hare, a za nim Evans znikają. Barne i Quartley spieszą na poszukiwanie tak raptownie zaginionych towarzyszy. Wreszcie burza rozproszyła cały oddział. Z wielkimi trudnościami, będąc co chwila w niebezpieczeństwie runięcia w przepaść, Wild, Weller, Heald i Plumley wdrapali się na dobrą drogę, i błądząc dość długo doszli do okrętu; reszta nie nadchodziła. Natychmiast wysłano Armitage'a z jedzeniem, ciepłą odzieżą i lekarstwami, na ratunek, jeśli takowy jeszcze był możliwy. Wreszcie natknęli się na jednego z poszukiwanych. Okazało się, iż Barne, zauważywszy nieobecność Evansa, rzucił się na pomoc, lecz raptownie poczuł, że leci na dół pod lodowym stoku. Wtem miękki śnieg powstrzymuje go. O parę kroków w śniegach leżał Evans, a za chwilę to-

czył się w dół Quartley. Jednak śnieg uratował wszystkich, bowiem znajdowali się już na samej krawędzi głębokiej przepaści, do której widocznie stoczył się Vince. Brakowało jeszcze jednego z oddziału, młodziutkiego marynarza Hare. Długie poszukiwania okazały się płonne, i zdawało się, że on również zaginął. Jednakże 13 marca zauważyli, iż na dalekich śniegach jakaś samotna figura, zmagająca się ze zmęczeniem, przebija się w kierunku okrętu. Był to Hare, zmarznięty, wycieńczony i zgłodniały. Okazało się, że on w przeciągu 36 godzin był pogrzebany w śniegach i jakiś dziwny tylko wypadek uratował go od zamrożenia. Jeden tylko Vince nie nadchodził; wszelkie dalsze poszukiwania pozostały bez rezultatu. Było widoczne, iż przepaść, grożąca życiu całego oddziału, przygotowała mu przedwczesną mogiłę. Na brzegach tej przepaści, dla uwiecznienia pamięci zaginionego, wzniesiono krzyż.

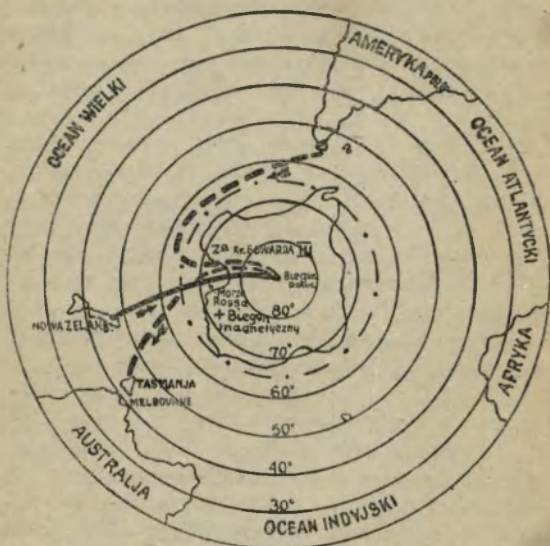
W pierwszych dniach kwietnia, nastąpiła surowa i ciemna zima. Temperatura spadała często poniżej — 60° F. Więc wszyscy zmuszeni byli przerwać wycieczki i pozostać na okręcie. Każdy z członków miał upatrzone jakieś zajęcie, więc długie i ciemne noce mi-

jały na pracy i rozrywkach. Oczekiwano niecierpliwie lata, by znowuż rzucić się w wir wycieczek, badań i przygód. Długa i żmudna była zima, lecz i jej przyszedł kres. Zawitały pierwsze promienie słońca, coraz większe, coraz jaśniejsze, wreszcie pokazało się tak niecierpliwie oczekiwane słońce, i nastąpiło lato.

2 listopada kapitan Scott, w towarzystwie dr. Wilsona, E. Shackletona i Barne'a wyruszył w kierunku bieguna na jedną z największych wycieczek. Posuwali się dość szybko i 25 tegoż miesiąca dotarli do 80 równoleżnika (patrz mapkę). W początkach grudnia oczom ich przedstawił się wspaniały widok na pasmo gór z potężnymi szczytami, dochodzącymi do 10.000 stóp. Zrobiono próbę dojścia do występującej z pod lodowca ziemi, lecz głębokie szczeliny nie pozwoliły na to. Droga była nader ciekawa, lecz coraz więcej uciążliwa. Zadziwiającą energją odznaczali się wszyscy, biorący udział w wycieczce, zwłaszcza Wilson, który czas postojów używał na gorączkowe szkicowanie krajobrazów.

30 grudnia, po spędzeniu 59 dni w drodze, dosięgli 82° 17' szer. geogr., wtargnęli więc w głąb lądu tak daleko, jak jeszcze nikomu nie udało się przedtem. Tu, daleko na

horyzoncie, uroczo zarysowały się szczyty dwóch gór, położonych na południu u 83 ró-



- — — DROGA SCOTTA
- - - DROGA AMUDSENA

wnołężnika. Jedną z nich Scott nazwał górą Longstaffa (9.700), a drugą — górą Markha-

BIBLIOTEKA

Zarząd <http://rcin.org.pl>

Lubi Historię i Kolekcjonalność

ma (15.000), uwieczniwszy tem imiona dwóch najwięcej zasłużonych organizatorów wyprawy.

Iść dalej do bieguna, czy powracać? Oto kwestja, która tu powstała przed Scottem. Część psów zaginęła poprzednio w drodze, a reszta była tak wycieńczona, że nie można było korzystać z ich pomocy. Zapasy malały i mogły zaledwie wystarczyć, przy bardzo szczupłym podziale, przy natychmiastowym powrocie. Więc nasi podróżnicy, mając biegun przed sobą już stosunkowo nie tak daleko, z żalem byli zmuszeni spieszyć się do okrętu. 14 stycznia pada ofiarą szkorbutu Shackleton. Ostatnie psy giną, i dwaj pozostali podróżnicy zmuszeni byli dźwigać sanie naładowane produktami. Zadanie było bynajmniej nie łatwe, komplikujące się chorobą towarzysza. Pozostała jedyna nadzieja, że chory Shackleton ostatecznie nie straci sił i będzie w stanie podążać za oddziałem. Shackleton, widząc groźną sytuację, z całych swych nadwątlonych sił podąża za resztą. Lecz wkrótce zupełnie zapada. Pozostałym towarzyszom i tak obciążonym ciężarem, przybywa jeszcze ciężar niesienia chorego, aby jaknajprędzej oddać go pomocy lekarskiej. 3 lutego 1903 roku, po upływie 94 dni, Scott z towarzyszami zupełnie już

wycieńczonymi i wyczerpanymi z sił, dociera do okrętu, mając poza sobą 800 mil drogi.

Pozostali członkowie wyprawy, również korzystając z krótkiego lata, przedsięwzięli cały szereg wycieczek. Jednej z takich wycieczek na czele z Armitage'm udało się dosięgnąć szczytów lodowca Ferrara i ustalić bardzo dogodną drogę, wiodącą do wnętrza lądu. Na powrotnej drodze, Armitage stochnął się do jednej z licznych tu szczelin i omal nie postradał życia. Naogół, wycieczki, przeprowadzone w ciągu tego lata, przyniosły obfity plon dla różnych dziedzin naukowych.

Scott, pozostawiwszy ostatni port Lyttelton, nie był w stanie dać o sobie żadnej wiadomości, w tym czasie bowiem iskrowy telegraf nie był jeszcze znany. Nie mając żadnej wiadomości w ciągu długiego czasu, Towarzystwo Geograficzne i bliscy Scotta zaniepokoiili się jego losem. Przypominano sobie, że znana polarna wyprawa Franklina nie miałaby tak tragicznego końca, gdyby okręt ratunkowy nie został wysłany zbyt późno. Wiedząc o tem i będąc odpowiedzialnym za życie wszystkich członków wyprawy, Scott przed swym wyjazdem otrzymał od Towarzystwa Geograficznego przy-

rzeczenie, że okręt posiłkowy będzie nadesłany po upływie określonego czasu wraz z pocztą i świeżym transportem zapasów. Rzeczywiście Tow. Geogr., zgodnie z przyrzeczeniem, wysłała 9 lipca 1902 roku okręt „Morning“ pod komendą por. Colbecka. 25 stycznia 1903 roku „Morning“ szczęśliwie przybył do miejsca zimowiska Scotta. Skoro tylko produkty zostały przeładowane na okręt Scotta, „Morning“ musiał pośpiesznie wracać, aby nie zostać więźniem nadciągającej zimy. 3 marca, zabrawszy chorego Shackletona, a wzamian pozostawiwszy por. G. Mullocka „Morning“ pożegnał naszych podróżników, pozostających tu jeszcze na jedną zimę.

Listy od najbliższych, świeże zapasy żywności, wiadomości z ojczyzny, umocniły moralnie i pokrzepiły załogę, gotującą się na ponowne przebycie długiej nocy zimowej. Zima minęła szczęśliwie. Z nastaniem wiosny, jeszcze przy bardzo silnych mrozach, całe grono podróżników podzieliło się na kilka oddziałów, by udać się w różnych kierunkach na nowe badania. 6 października, po krótkich wycieczkach, jeden z oddziałów na czele z kapitanem Scottem, wyruszył na największą z wycieczek, jakie miały się odbyć przed rozstaniem się z Antar-

ktydą. Idąc na zachód, nie mając dookoła siebie nic z wyjątkiem śniegów i lodów, Scott wdarł się w głąb Ziemi Wiktorji.

Pomimo nieustannych burz i bardzo przykrej pogody posuwali się naprzód. Po upływie 4-ech tygodni Scott zmuszony był większą część uczestników, najbardziej wycieńczonych podróżą, odesłać z powrotem, a samemu w otoczeniu dwóch już tylko dążył dalej w niewiadomą śnieżną przestrzeń. 30 listopada, będąc o 300 mil od okrętu, Scott zdecydował się na powrót. 15 grudnia już na powrotnej drodze, zauważyli na dole u stromej pochyłości skrawek pasma lądu, występującego z pod lodowca. Zaciekawieni, bowiem już od miesiąca nie oglądali ziemi, spieszą się ku tak ponętnemu zjawisku, nie zważając na zmęczenie i potłuczenie stromą drogą. Scott podążał naprzód, z lewej strony Evans, a z prawej Lashly. Byli już blisko celu, wtem Evans i Scott nikną, Lashly jakimś cudem błyskawicznie z całej siły cofa się wtył, a tylko sanie lecą w przepaść. Rozejrzawszy się, Lashly spostrzega, iż Scott i Evans wpadli do szczeliny i zawiśli na śnieżnej krawędzi, mając po obu stronach niebieskie ściany lodowca, a u dołu bezdenną przepaść. Scott, nie tracąc się w tak groźnej sytuacji, umacnia się na cienutkim cyplu lodu, jednocześnie starając

się wzmocnić wiszące nogi Evansa. Straszliwe zimno lada chwila mogło ich obezwładnić. Nie było ani chwili do stracenia. Scott z całych sił wdrapuje się do góry i wyskakuje na śnieg. Z pomocą Lashly wydostają i drugiego towarzysza już zupełnie wyczerpanego z sił. Uratowane całe grono, już bez żadnych nowych przygód, powróciło 23 grudnia na pokład okrętu. Scott z towarzyszami spędził 59 dni w tej wyprawie, przeszedłszy pieszo bez pomocy psów 725 mil, czem pobił rekord, wszystkich dotychczas odbytych wycieczek polarnych. Cały szereg bardzo ważnych wiadomości zebrano podczas tej wycieczki, zrobiono wiele spostrzeżeń magnetycznych, co umożliwiło kapitanowi Chetwyndowi ustalić miejsce południowego bieguna magnetycznego, a członkom wyprawy Shackletona odkryło drogę ku niemu.

Wkrótce powróciły na okręt i inne oddziały. Naogół w przeciągu tych dwóch lat, odbyło się 17 wycieczek, w sumie trwających 425 dni. Wielka to i świetna stronica w historii badań antarktycznych. Po niedługim wypoczynku, zabrali się wszyscy do wyzwolenia okrętu z lodów, aby wyprowadzić go na otwarte morze, i wyruszyć w powrotną drogę. Robiono próby, aby przepiłować w lodach ścieżkę wodną, dostateczną dla

przejścia okrętu, lecz wszelkie ich wysiłki były daremne. Na szczęście 5 stycznia 1904 roku przybyły z Anglii dwa ratunkowe okręty „Morning“ i „Terra Nova“. Natychmiast użyto dynamitu i więzień lodów, „Discovery“, był wyzwolony.

Zwiedziwszy po drodze południowo-zachodnie wybrzeże Ziemi Wiktorji, kapitan Scott 10 września szczęśliwie przybył do oczyszczonych wybrzeży. Witwały go entuzjastyczne tłumy i zasypywano ich kwiatami. Nagrody posypały się na Scotta ze wszystkich stron świata. Nagrody te, zaiste, były zasłużone. Trudów położono niemało. Ciężpienia, niewygody, narażanie swego życia — wszystko było złożone w ofierze dla sprawy. Plon naukowy — obfity. Nietylko geografja, lecz i inne nauki jak geofizyka, geologja, oceanografja, biologja i wszystkie gałęzie przyrodoznawstwa otrzymały z tej wyprawy plon obfity, który pozwolił odsłonić niejedną z tajemnic Antarktydy.

Po trudnej i uciążliwej podróży zdawałoby się, iż kapitan Scott ma prawo do odpoczynku. Morze i dusza prawdziwego marynarza jednak nigdy nie znają spoczynku.

Nie spoczął więc i Scott.

PONOWNA WYPRAWA.

Upłynęło 4 lata od czasu powrotu Scotta z dalekiej podróży. Choć naukowe wyniki pierwszej wyprawy były znaczne, chociaż przyniosły mu wyrazy uznania i zaszczytne odznaki od Towarzystw Geograficznych prawie całego świata, jednak nie zadowolily go w należytych stopniu. Pozostając w marynarce, Scott nieustannie nosił się z planem nowej wyprawy, nietylko wtargnięcia w nieznaną wewnątrz Antarktydy, lecz i dosięgnięcia bieguna. W roku 1907 wyrusza na badania antarktyczne Ernest Shackleton, towarzysz Scotta z jego pierwszej wyprawy, spędzając dwa lata w uciążliwych podróżach, dosięgając 88° 23' połud. szerok. geogr., t. j. dochodzi tak daleko, jak jeszcze nie udało się żadnemu z poprzednich podróżników; wreszcie odkrywa biegun magnetyczny. Trofea naukowe Shackletona jeszcze więcej porywają duszę Scotta, który decyduje się wystąpić publicznie z projektem nowej wyprawy antarktycznej. We wrześniu 1908 roku Scott żeni się z utalentowaną rzeźbiarką, panną Katarzyną Bruce. Młoda małżonka nietylko nie powstrzymuje porywów swego męża, lecz dodaje mu nowej otuchy i staje się energiczną współpra-

cowniczką w wykonaniu jego zamiarów. Od tego czasu, przygotowawcze prace posuwały się tak szybko, iż we wrześniu 1909 roku Towarzystwo Geograficzne nabyło okręt „Terra Nova“ dla celów wyprawy. Projektując bardzo szerokie zadania nowej wyprawie, mającej na celu przede wszystkim zdobycie bieguna i oprócz tego zbadanie należyte całego szeregu nieznanych dotychczas zakątków Antarktydy, Scott zaprasza tak liczny zespół marynarzy i uczonych, jakiego dotychczas nie wysyłano nigdy na wyprawy antarktyczne.

Zespół uczonych badaczy składał się z 4-ech biologów, (E. Wilsona, E. Nelsona, E. Lillie, A. Cherrys'a Garrarda), 2-ech geologów (T. Griffina Taylora i Debenhama) i 2-ech fizyków (dr. Wright'a i dr. Simpsona). Dla zdjęć fotograficznych i kinematograficznych był zaangażowany wybitny specjalista H. Ponting. W zaangażowaniu zaś fachowców marynarzy Admiralicja przyszła z pomocą i przydzieliła do wyprawy kilku bardzo zdolnych i doświadczonych oficerów, z których wybitniejsze stanowiska zajęły następujące osoby: kapitan Oates, porucznicy: E. Evans, Edgar Evans, Penell, Campbell, Rennick, Bowers, Riley, Lashly, Crean

i Williamson. Razem z załogą cała wyprawa liczyła 60 osób.

Dla przewożenia zapasów w czasie posuwania się wyprawy w głąb Antarktydy, zakupiono 30 syberyjskich psów i 20 koni (Ponies), a oprócz tego przyłączono specjalne sanie motorowe. Gdy wreszcie wszystkie przygotowania były skończone, 3 czerwca 1910 roku „Terra Nova“ opuściła dok, skierowując się do Nowej Zelandji.

Liczne tłumy entuzjastycznie zęgały odpływającą wyprawę. Scott, stojąc na kapi-tańskim mostku, dumnie spoglądał na nika-jące brzegi, nie zdradzając żadnego wzru-szenia, ale kto wie, co się działo w tej chwili w jego sercu. Porzucił nie tylko ojczyznę, ale pozostawiał na rodzinnych brzegach naj-droższą dla siebie istotę i malutkiego synka. W tym czasie syn jego liczył zaledwie kilka miesięcy i oczywiście nie był w stanie zrozu-mieć tej sprawy. Gdy podrośł, słysząc opo-wiadania matki o swym nieobecny ojcu, znajdującym się w dalekich i zimnych kra-jach, brał do rącząt fotografię Scotta i piesz-czotliwie biorąc pod poduszkę, powiedział: „Trzeba tatuśka rozgrzać, jemu, biedakowi, tak zimno“. Jego maleńka duszyczka jakby przeczuwała, że tam, hen, daleko, na śnież-

nych pustyniach, zabraknie w istocie jego ojcu ciepła i że nie ujrzy go więcej.

W Nowej Zelandji, w porcie Lyttelton, wyprawa spędziła cały miesiąc, oczekując na psy i konie, które miały nadejść z Syberji. 29 listopada „Terra Nova“ wyruszyła w dalszą podróż w kierunku morza Rossa, gdzie olbrzymi pierścień lodowy, otaczający dookoła Antarktydę, znacznie rozluźnia się i pozwala statkom dojechać do lodowych wybrzeży lądu. 1 stycznia wyprawę spotyka straszliwa burza, rzucająca okrętem na wszystkie strony, jak piłką. Rozbijała fale co chwila zalewały pokład, grożąc pochłonięciem całego okrętu. Wkrótce wszystko było w wodzie. Nadomiar nieszczęścia popsuły się pompy i niebezpieczeństwo tak się powiększyło, że lada chwila cała wyprawa mogła zatonać. Obecni na okręcie zmuszeni byli pracować nieustannie, to niosąc pomoc psom i koniom, strasznie cierpiącym i borykającym się z rozpiętanymi falami morza, to pracując przy pompach, to doglądając za pasów. Walka była tak zawzięta i uporczywa, iż wkrótce udało im się całe niebezpieczeństwo odwrócić i opanować straszliwą sytuację. Na trzeci dzień burza ucichła i „Terra Nova“ spokojnie popłynęła dalej. 9 grudnia okręt napotyka u 65° 5' połud.

szerok. 178° wchod. dług. pierwsze pola lodów i torując sobie drogę z wielkim trudem, posuwał się wciąż naprzód. Wreszcie 4 stycznia 1911 roku „Terra Nova“ szczęśliwie dotarła zundu Mac Murda, gdzie u przylądka Evansa zatrzymała się dla wylądowania wyprawy, obrawszy ten punkt za miejsce swego głównego zimowiska. Lądowanie zaczęło się natychmiast. W ciągu trzech tygodni zbudowano domy, składy, schroniska dla zwierząt, a wszystkie zapasy i instrumenty przeniesiono na ląd .

Według planu Scotta wyprawa miała się podzielić na kilka oddziałów, aby badania przeprowadzić w różnych stronach lądu. Jeden z takich oddziałów, pod kierownictwem porucznika Campbella, składający się z dr. Levicka, geologa, Priestleya i trzech ludzi do pomocy, miał na celu zbadanie obszaru znanego pod imieniem Ziemi Króla Edwarda VII. Dnia 26 stycznia 1911 roku „Terra Nova“ opuściła przylądek Evansa pod komendą porucznika Pennella, skierowując się do miejsca przeznaczonego do wylądowania oddziału Campbella. Lecz mimo poszukiwań, u wybrzeży Ziemi Króla Edwarda nie udało się jednak odszukać miejsca dla wylądowania i „Terra Nova“ była zmuszona powracać. Po upływie dwóch dni niedaleko od

zatoeki Wielorybiej, spotkali oni ku wielkiemu zdziwieniu norweski okręt „Fram“ na czele z Amundsenem, dążącym również do zdobycia bieguna. To spotkanie po raz pierwszy odkryło nietylko naszym podróżnikom, lecz i całemu światu rzeczywiste zamiary Amundsena. Pierwotnym jego planem była wyprawa w kierunku zupełnie przeciwnym, do krajów arktycznych. Od tego czasu, gdy Amundsen wyruszył w październiku 1910 roku z wyspy Madeiry, nie było o nim żadnej wiadomości, lecz spodziewano się, że podążył w kierunku północnym. Okazało się z tego spotkania, iż rzeczywiste zamiary Amundsena były zupełnie inne od tych, jakie wygłaszał przed rozpoczęciem swej wyprawy.

Pennell, nie chcąc, aby mu zarzucano zamiar wstąpienia w ślady i konkurencję z Amundsenem, zmuszony był zmienić swój kierunek. Wreszcie, po długich poszukiwaniach, „Terra Nova“ zatrzymała się w zatoce Robertsona, gdzie wylądował oddział Campbella i założył zimowisko. Niejednokrotnie były robione próby wyruszenia z wycieczkami, lecz lód dookoła okazał się tak krucho, iż nie było żadnej możności posunąć się na znaczniejszą odległość, A zatem zmuszeni byli spędzić zimę beczynnje.

8 stycznia 1912 roku, „Terra Nova“ zabrała stąd ten oddział, wylądowując go w pobliżu góry Melburna z zamiarem zabrania go na pokład w ciągu 6 tygodni. Lecz gęste lody uniemożliwiły przybliżenie się okrętu do brzegu i oddział Campbella niespodziewanie zmuszony był spędzić tu całą zimę. Zapasy żywnościowe, obliczone tylko na 6 tygodni, były bardzo szczupłe, o powrocie lądem w tym czasie nie można było marzyć. Pozostali więc odcięci od głównego zimowiska i pozostawieni na łasce losu. Ratując się przed zimnem, zmuszeni byli zamieszkać w lodowej chacie i spędzić tu zimę w wielkim niedostatku, dopełniając, więcej niż skromne zapasy, mięsem fok i bezłotków, którym jedynie mogą zawdzięczać uratowanie swego życia. Z nadejściem podbiegunowego lata, w październiku, oddział ten wyruszył w drogę i 7-go listopada 1912 roku, po uciążliwych trudach i niebezpiecznych przejściach, szczęśliwie dotarł do głównego zimowiska kapitana Scotta, zabrawszy po drodze porzucone zbiory prof. Davida, jednego z członków wyprawy Shackletona .

Cóż robiło przez cały ten czas jądro wyprawy?

Natychmiast po wylądowaniu i urządzeniu głównego zimowiska, kapitan Scott

wszczął pośpieszne przygotowania, aby skończyć z stosunkowo dobrej pogody i jeszcze przed nadejściem zimy wykonać kilka wycieczek w głąb lądu. 25 stycznia 1911 roku kapitan Scott wyrusza w swą pierwszą podróż lądową w towarzystwie 12-tu ludzi, zabrawszy z sobą 8 koni, 26 psów, oraz opału i żywności na 14 tygodni, przeszło 12.000 funtów wagi. Dotarłszy do $77^{\circ} 55'$ połud. szerok. założyli tu pierwszy postój i zostawili znaczne części zapasów dla potrzeb zamierzonej przyszłej podróży do bieguna. 15 lutego na szerokości $79^{\circ} 28'$ pogoda tak pogorszyła się, że Scott zdecydował zatrzymać się i założyć 2-gi postój, pozostawiając i tu pewną ilość produktów. Z powodu opóźnionego czasu i złej pogody zmuszeni byli spieszyć się z powrotem do głównego zimowiska. Powrotna droga była jeszcze bardziej uciążliwą. 20 lutego posuwając się jak zwykle powoli naprzód, cała wyprawa była nagle wstrzymana i przerażona krzykiem dr. Wilson: „Powstrzymajcie sanie!” W tym momencie zauważyli, że wszystkie psy, ciągnące sanie, wpadają w przepaść szczeliny lodowej. Na szczęście jednak uprząż powstrzymuje psy i nie pozwala stoczyć się na dno przepaści; tylko dwa zerwały się z uprzęży i zsuwając zatrzymały się daleko

w dole na śnieżnym moście. Skoro tylko psy, wiszące nad przepaścią, były uratowane, Scott, narażając swe życie na wielkie niebezpieczeństwo, spuszcza się na sznurach, aby je odzyskać. Przygody jednak nie zakończyły się na tem zdarzeniu. 4 marca, będąc na przybrzeżnych lodach, zatrzymują się, by odpocząć. Po upływie 2-ech godzin, zostali zaniepokojeni jakimś dziwnym szmerem. Okazało się, iż dokoła ich postoju lód zaczął się łamać i dość szybko poruszać; będąc w tak niebezpiecznem położeniu, zaczęli uporczywie dążyć do brzegu, dokładając wszelkich wysiłków, by uratować konie i psy. Wszczęła się straszliwa walka, jednakże wszystkie ich starania i niejednokrotne narażanie życia okazały się płonne; pływające lody uniosły wszystkie konie za wyjątkiem jednego uratowanego przez kapitana Scotta. Był to pierwszy poważny cios, jaki spotkał wyprawę, ponieważ znacznie zmniejszyły się siły przewozowe. Wypocząwszy po tylu przejściach, wyprawa w dalszym ciągu kontynuowała swą powrotną podróż i 13 kwietnia przybyła do miejsca głównego zimowiska.

Szybkimi krokami zbliżała się zima. Ostatni dzień słońca wypadł 23 kwietnia, więc trzeba było pośpieszać z przygotowaw-

niami na spotkanie tak długiej i uciążliwej— specjalnie w tych miejscowościach — pory roku. Mieszkania dla ludzi i schroniska dla zwierząt wkrótce były zaopatrzone pod każdym względem jak najodpowiedniej, więc bez żadnej obawy można było spokojnie oczekiwać nawet najsurowszych mrozów. Wreszcie słońce skryło się; ciemna zima wstąpiła w swe prawa. Cała wyprawa nie była jednak beczynna. Jedni byli zajęci różnymi obserwacjami, inni przesiadywali nad obliczeniami związanymi z przyszłą wyprawą do bieguna, wreszcie inni zajęci byli gospodarstwem, lub trenowaniem koni. Dla zabicia czasu przy współudziale wszystkich członków wyprawy wydawali specjalne pismo „Czas Polarny“, wykwintnie ilustrowany przez dr. Wilsona. Od czasu do czasu urządzali odczyty, i pogadanki naukowe, przeważnie związane z zagadnieniami wyprawy, a czasem na śniegach odbywały się mecze footballowe. Zima przechodziła dość szybko w absolutnie panującej zgodzie i w najlepszym towarzyskiem współżyciu wszystkich członków wyprawy.

Nastał lipiec, jak zwykle najchłodniejsza pora roku w krajach antarktycznych. Dr. Wilson, ten namiętny przyrodnik, nudząc się nieustannem przebywaniem w schronisku,

postanowił wyruszyć na poszukiwanie jaj bezlotków, które właśnie w tym czasie są najciekawsze dla obserwacji biologa. Ciemna noc, i straszliwe mrozy nie powstrzymały jednak ciekawości dr. Wilsona; naładowawszy na dwoje sani zapasy żywnościowe, niezbędne na przeciąg 5-ciu tygodni, w towarzystwie porucznika Bowersa, puszcza się w tę nader niebezpieczną wycieczkę. Idą oni w kierunku przylądka Crozier przy bardzo niskiej temperaturze, dochodzącej często do 57 st. F. Nie przestrasza ich to jednak i 19 lipca dochodzą do skalistych wybrzeży morza Rossa. Tu składają z kamieni schronisko, i poczynają wdrapywać się na strome szczyty, aby wydobyć tak cenne dla nich jaja bezlotek. Wreszcie na jednym ze szczytów, udaje się im znaleźć 6 jaj i upolować 3 ptaki. W nocy 22, ciemnej i zimnej, zaczęła się tak okropna burza, że cały ich namiot doszczętnie został zniszczony i zniesiony. Chroniąc się przed silnym wiatrem, tuła się w kamiennym schronisku. Na drugi dzień, burza jeszcze silniej się wzmożła i szalejąc, zniosła dach ich schroniska. Na szczęście wiatr ucichł, co dało im możliwość iść na poszukiwania zerwanego namiotu, który, ku wielkiej ich radości znaleźli o pół mili od miejsca pobytu; w przeciwnym bowiem ra-

zie oczekiwała ich niechybna śmierć od mrozu. Dopiawszy celu, podążyli z powrotem. Zmęczeni, w futrzanych worach doszczętnie zamarzniętych, po niezliczonych trudach, 1-go sierpnia dotarli do zimowiska, spędzwszy w tej wycieczce, pełnej przygód, 5 tygodni. Uradowany ich powrotem kapitan Scott — tak o tem opowiada w swym pamiętniku: „Oddział, który udał się do przyłądka Crozier, dziś powrócił, po upływie 5 tygodni, mając po za sobą tak straszliwe warunki, jakich pewnie jeszcze nikt i nigdy nie doznawał. To tworzy jeden z najświetniejszych epizodów w historii badań polarnych. Ci ludzie byli zmuszeni wędrować wśród nieprzeniknionych ciemności nocy, cierpieć straszliwy głód, walczyć nieustannie z szalejącymi burzami — to naprawdę coś nowego w historii. Cierpieli oni uporczywie, dążąc do celu, nie uginali się jednak pod ciężarem warunków w ciągu wyznaczonych dla siebie 5-ciu tygodni, zaprawdę, te czyny zasługują na nazwę bohaterstwa. Ta wycieczka tworzy ciekawą i pouczającą opowieść dla naszego pokolenia, której nigdy nie powinno zapomnieć“.

Od czasu powrotu oddziału dr. Wilsona, zaczęły się stopniowe i nieustanne przygotowania do letniej wyprawy. W międzyczas

sie były zrobione próby motorowych sani, na które pokładał wiele nadziei kapitan Scott, lecz ku wielkiemu jego rozgoryczeniu, okazały się mało odpowiednie dla celów wyprawy. Więc na przyszłość, można było liczyć tylko na pozostałe konie i psy, które dzięki starannej opiece kapitana Oatesa, w ciągu całej zimy pozostały w dobrym zdrowiu.

BIEGUN ZDOBYTY!

2 listopada, co odpowiada na naszej półkuli 2 maja, kapitan Scott w towarzystwie 12 osób wyruszył w swoją ostatnią podróż, z której sądzonem mu było więcej nie powrócić. Po upływie 5-ciu tygodni nasi podróżnicy bez większych trudności przeszli obszerną lodową równinę Wielkiego Przedmurza, położoną przed ogromnem płaskowzgórzem Antarktydy, na której znajduje się biegun.

Po przejściu równiny, zaczęli się wspinać na ponure Alpy Antarktyczne po olbrzymim lodowcu Beadmora. Na progu tego lodowca, nie mogąc więcej korzystać z usług koni, zabili je dla spożycia. Psy zaś były odesłane z powrotem. Nowa ta droga była nierówna, stroma, obfitująca w zdradzieckie

przepaści i szczeliny. Każdy krok był uciążliwy i trudny. Śnieg padał prawie nieustannie. Burze były nieodstępnym towarzyszem podróżników. Zmuszeni byli pracować po 10—11 godzin dziennie. Droga była tak trudna, warunki tak niepomysłne, iż nie zważając na ich wysiłki i starania, w przeciągu pierwszych 4-ch dni podróży po lodowcu udało się przejść zaledwie 20 mil angieli. Natomiast poprzednio, równiną, przechodzili 14—15 mil, a czasem i więcej. Tylko nieugięta energja, niezrównane męstwo i wytrzymałość kapitana Scotta, dodawała całemu gronu otuchy i sił do dalszej podróży. Wreszcie 22 grudnia, będąc na 85° 13' szer. geogr. dotarli wysokości 7.100 stóp nad powierzchnią morza. Dalej już niemożliwem było iść w tak wielkiem gronie ze względu na oszczędność zapasów. Więc Atkinson, Wright, Cherry Garrard i Kaeohane — żegnają się ze swym ubóstwianym kierownikiem i powracają na północ. Cały oddział po upływie pewnego czasu bez nadzwyczajnych przygód, szczęśliwie powrócił do głównego zimowiska. Połączywszy się z pozostałymi na wybrzeżu, w tym czasie, kiedy Scott podążał do bieguna, nieustannie byli zajęci to wycieczkami, to prowadzeniem różnych obserwacyj, to wreszcie zbieraniem

kolekcji. Tak np. geolog Taylor przedsięwziął kilka wycieczek do Ziemi Wiktorji, gdzie dokonał całego szeregu zdjęć topograficznych i zebrał cenne kolekcje geologiczne. Inny geolog Pristley dotarł do szczytu wulkanu Erebus oraz zbadał skład kilku gór Antarktydy. Porucznik Pennel z kilku innymi członkami wyprawy, pozostając na pokładzie „Terra Nova“, z ramienia rządu Nowej Zelandji, wykonał cały szereg pomiarów i spostrzeżeń oceanograficznych na terenie przyległych mórz. W sumie prace wszystkich członków wyprawy, wydały bardzo obfite i cenny dorobek naukowy, wielostronnie oświetlający jak przeszłość Antarktydy, tak i jej stan obecny.

Kapitan Scott, pozostawszy w towarzystwie 7-miu osób, posuwał się na południe. Boże Narodzenie zastało ich na 86 równoleżniku. Aby wyróżnić ten dzień, tak tradycyjnie obchodzony w ojczyźnie, wydzielili sobie podwójne porcje pożywienia, lecz o świątecznym odpoczynku nie mogli i marzyć, z powodu opóźnienia wywołanego nieoczekiwanymi przeszkodami w drodze. Więc Boże Narodzenie i Nowy Rok spędzają w niestrudżonem dążeniu do celu.

Idąc wciąż dalej i dalej naprzód po bardzo nierównej i śnieżnej powierzchni, gro-

no naszych podróżników zaczynało coraz silniej odczuwać zmęczenie; lecz zdobywając się na nieludzkie wysiłki, śmiało kroczyło do celu. Wreszcie 3 stycznia 1912 roku, t. j. po upływie dwóch miesięcy od czasu wyruszenia, Scott znajdował się już zaledwie na odległości 270 klm. od bieguna. Podróż ta trwała dłużej, niż przypuszczano, więc aby ocalić zapasy, Scott zdecydował się trzech swych towarzyszy (Edgra Evansa 2-go, Lashlya i Creana) odesłać z powrotem, a samemu w otoczeniu pozostałych czterech, podążać dalej na południe. Zdrowie Evansa, zaatakowanego przez szkorbut, tak znacznie pogorszyło się, że nie był w stanie iść dalej. Choroba wyczerpała jego siły do tego stopnia, że o dalszej podróży i mowy być nie mogło, więc w lekkim namiocie pozostał z chorym Lashly, aby go pielęgnować, a Crean puszcza się sam jeden naprzód, szukać pomocy. Na szczęście niedaleko znajdował się doktor Atkinson, który natychmiast pośpieszył na ratunek. Powiększony w ten sposób oddział, szczęśliwie pomógł Evansowi dostać się do zimowiska, gdzie stopniowo powracał do zdrowia. Lashly i Crean za swe bohaterstwo w ratowaniu towarzysza zostali udekorowani przez rząd angielski krzyżem zasługi.

Rozstawszy się z towarzyszami, Scott szedł śmiało dalej, przechodząc dziennie 10 do 12 mil angielskich. Nareszcie 17 stycznia znaleźli się już na $89^{\circ} 59'$ pół szer. geogr. Nadzieja rychłego osiągnięcia bieguna dodała naszym podróżnikom otuchy do dalszych wysiłków. Dzień był pochmurny i chłodny, lecz myśl, że znajdują się już u stóp bieguna, pchała ich naprzód. 18 stycznia rozjaśniło się o tyle, iż można było dokładnie dokonać obserwacji, i o radości! wyprawa była u 90° ! Biegun zdobyty! wkrótce sztandar angielski powiewał na bezbrzeżnych przeszczeniach tego kraju lodowego milczenia.

Lecz oczekiwała tu Scotta przykra niespodzianka. Tu i owdzie zauważono ślady niedawnego pobytu jakiejś wyprawy, a przy dalszych poszukiwaniach ujrzano sztandar norweski i wskazówki, iż bieguna dosięgnął pierwszy Amundsen 16 grudnia 1911 roku. Próżnym byłoby wspominać, że to niespodziewane odkrycie zrobiło silne, i przygnębiające wrażenie na Scotta i jego towarzyszach.

Nie zważając na wszystkie nadludzkie wysiłki, pośpiech, starania i poświęcenia, Scotta wyprzedzono na cały miesiąc. Tu jego wola, energia i entuzjazm, z jakim dążył

do celu, zostały strącone z wyżyn, a marzenia o osiągnięciu pierwszeństwa w zdobyciu bieguna, były rozbite.

ODWRÓT.

Od bieguna do miejsca głównego postoju na wybrzeżu, dzieliła ich przestrzeń 1350 klm., przestrzeń śnieżnych pustyń i lodowych gór. 18 stycznia na południowej półkuli, odpowiada 18 lipca naszej szerokości geograficznej. W tym czasie u bieguna, za jakieś 15—20 dni, zaczyna się surowa, straszna swem zimnem i śnieżycami zima. Pośpiech był konieczny. U bieguna zrobiono zdjęcia fotograficzne, i przeprowadzono niektóre badania. 19 stycznia wyprawa wyczerpana już z sił, zmęczona 2-miesięcznym przemarszem, porzuca zdobyty biegun, wyrusza w dalszą podróż, mając przed sobą długą i uciążliwą drogę. Pierwsze dni miały dość pomyślnie, udawało się bowiem przechodzić dziennie do 18 mil chociaż siły były na wyczerpaniu, a najsilniejszy z nich por. Evans 1-szy raptownie zapadł na zdrowiu. Pogoda też z każdym dniem stawała się gorszą. Mróz dokuczał coraz silniej, pojawiły się śnieżyce. 31 stycznia spotkała ich taka straszliwa zamieć, że zmuszeni byli za-

trzymać się w drodze, by nie zginąć w tym rozbujającym oceanie śnieżnym. Skoro tylko burza ucichła, wyruszyli dalej. Wreszcie zbliżyli się do wielkiego lodowca Beadmora. Droga stawała się coraz uciążliwsza. Evans tak osłabł, że ledwie podążał za towarzyszami. Osłabiony na ciele i duchu, Evans, przy wspinaniu się na jeden z lodowców poślizgnął się i uderzył się o lód z taką siłą, że dostał wstrząśnienia mózgu. To jeszcze więcej pogorszyło stan jego i tak już groźny. Iść z większym pośpiechem było niemożliwe, ponieważ biedny Evans, wyglądając jak upiór, posuwał się z wielkim trudem i to przy pomocy swych towarzyszy, obciążonych ciężarem i wyczerpanych na siłach. Nie było już wątpliwości, iż godziny Evansa są policzone, 17 lutego Evansowi spada narci, zatrzymuje się, aby ją poprawić. Towarzysze, nie podejrzewając w tem nic niebezpiecznego, poszli dalej, każda bowiem minuta zwłoki groziła zgubą całej wyprawy. Widząc jednak, że Evans nie zdąży za nimi, Scott zatrzymuje się aby w międzyczasie przygotować ciepłą strawę i trochę wypocząć. Długa nieobecność Evansa, zaniepokoiła towarzyszy i zmusiła ich pośpieszyć mu z pomocą. Tuż niedaleko od miejsca ich spoczynku, znajdują Evansa, tonącego w

śniegu i wyczerpanego z sił do takiego stopnia, że nie był w stanie podnieść się i wołać o pomoc. Towarzysze złożyli go na saniach i zawieźli do namiotu, gdzie przez dwie godziny, nie skarżąc się na swój los i uśmiechając do swych zaniepokojonych towarzyszy, Evans umarł. Umarł dumnie i bohatercko. Oddawszy ostatnią przysługę i pochowawszy go w śniegach, osierocone i strapione grono podróżników podążyło naprzód. Droga stawała się coraz więcej stromą i trudną do przebycia, a mróz wzmagał się z szybkością zagrażającą ich życiu. Trzeba było za wszelką cenę pośpieszać, a tu siły słabły, co gorsza kapitan Oates zauważył, iż ma nogi i ręce zupełnie odmrożone. Trzeba było nadludzkiej cierpliwości i olbrzymiej siły woli, aby podążać w takim stanie za wyprawą. Widząc, że zbliża się koniec jego życia, a nie chcąc narażać swych towarzyszy na niebezpieczeństwo swoim niedomaganiem, postanowił przyśpieszyć i tak już nieuniknioną śmierć. „Wszyscyśmy, jak tylko mogli, pisze w swym pamiętniku Scott, poczeczali jeden drugiego, ale, co każdy z nas czuł w swem sercu, tego mogę domyślać się“. 16-go marca stan Oatesa znacznie się pogorszył, cierpiał okropnie, nie okazując jednak tego. Jak zawsze, był uprzejmy, mi-

le uśmiechający się i dodający otuchy. Wreszcie siły zupełnie opuściły go, tak, że nie mógł już iść dalej. Rozumiejąc, co znaczy zwłoka i chcąc ocalić swych towarzyszy, błaga ich, by zostawili go samego, a sami ratowali się. Lecz Scott, Wilson i Bowers jednogłośnie odmówili tej prośbie, i wszyscy postanowili pozostać przy nim. Każdy z nich dobrze wiedział, iż niedługo pozostanie wśród nich. „Była to dzielna dusza, pisze Scott. Spał on całą noc, pewnie ludząc się nadzieją, że więcej nie obudzi się. Na dworze szalała straszliwa burza. Obudziwszy się, Oates z wielkim trudem podniósł się i skierował do wyjścia, mówiąc — „ja tylko wychodzę i możliwie zabawię pewien czas“. Od tej chwili nie widzieliśmy go więcej. Nie zatrzymywaliśmy go, bowiem wiedzieliśmy, że postępuje jako człowiek pełen honoru i dumy“. Wyszedł, aby dobrowolnie oddać się na pożarcie szalejących żywiołów i aby swą śmiercią wyzwolić swych towarzyszy. Tym bohaterskim czynem, kapitan Oates wpisuje do historii badań polarnych jedną z najpiękniejszych stronic, zasługując nie tylko na wielką, lecz na wieczystą sławę.

ZGON.

Straciwszy drugiego towarzysza, Scott, Wilson i Bovers w dalszym ciągu zdążali na północ, o ile im tylko pozwalała pogoda, nieustannie pogarszająca się. Scott tak był zmęczony i wycieńczony mrozem i uciążliwą podróżą, że wywołało to podobne groźne objawy, jak i u zmarłego Oatesa. 21-go marca straszliwa burza zmusiła podróżników zatrzymać się na 79° 40' połud. szerok. i 169° 23' wschod. dług. i rozłożyć namiot dla wypoczynku. Wyprawa znajdowała się za ledwie w odległości 20 klm. od składu prowizji i opału, więc Wilson i Bowers, jako zdrowsi, mieli zamiar sami pośpieszyć, by natychmiast powrócić z nowymi zaopatrzeniami. Lecz napróżno: zamieć dmąca z szatańską siłą nie pozwoliła skorzystać z ich dobrych chęci, ponieważ w przeciagu kilku dni nie mogli wyjść z namiotu. To było strasznym, ostatecznym ciosem. Zabrakło opału, a szczególnie zapasy żywnościowe wkrótce wyczerpały się do szczytu. Zbliżała się nieunikniona powolna, a zarazem straszna śmierć od głodu i mrozu. Wołać o pomoc — ale do kogo? Śpieszyć po ratunek — dokąd? Naokoło słała się tylko bezbrzeżna głucha i nieczuła bo za ledwie o 20 klm., ale i ta droga ratun-

ku była zamkniętą. Oczekiwana pomoc nie nadchodziła. Wyczerpanym z sił, przygnęcionym niepowodzeniem, zgłodniałym i cierpiącym katusze od złośliwego mrozu, pozostawało jedno — spokojnie oczekiwać nieuniknionego końca. Bez słów rozpacz i jęku, bez żalu na los, bez skargi na straszne cierpienia, pierwsi umierają Bowers i Wilson. Scott żyje parę chwil dłużej. Już prawie w agonji, kostniejącą ręką kreśli pożegnalne listy do rodziny i odezwę do społeczeństwa. Nielitościwa śmierć nadchodzi, ołówek wypada z ręki, kapitan Scott umiera...

Oto co pisze on w swej odezwie: „Przyczyn naszego nieszczęścia potrzeba szukać nie w złej organizacji wyprawy, lecz w tych nieustannych niepowodzeniach, jakie spotykały nas na każdym kroku.

„Przedewszystkiem strata koni w marcu 1911 roku, znacznie opóźniła nasz odjazd, a co najważniejsza zmusiła nas znacznie zmniejszyć zapasy, jakie zamierzaliśmy wziąć ze sobą w drogę do bieguna. Następnie zła pogoda, która ciągle prześladowała nas, a przeważnie straszna śnieżycyca, która spotkała nas na 83° szer. poł. i zatrzymała w drodze, wreszcie sypki śnieg, wszystko to przeszkadzało posuwać się naprzód bardziej

pośpiesznym krokiem. Zwalczaliśmy wszystkie trudy i przeciwności i bezwątpienia, zwycięstwo byłoby po naszej stronie, gdyby nasze zapasy żywnościowe nie malały z każdym dniem.

„Nie zważając jednak na wszystko, powrócilibyśmy w dobrym stanie, gdyby nie fatalny wypadek, z jednym z naszych towarzyszy, Evansem, którego uważaliśmy za najwięcej wytrzymałego. Nasz stan pogorszyło i to, że w czasie powrotnej drogi nie mieliśmy ani jednego dnia dobrej pogody. Fatalna pogoda, beznadziejny stan naszego towarzysza, w znacznym stopniu pogorszyły nasze położenie.

„Wspominałem już wyżej, że powierzchnia lodu była nadzwyczaj nierówną. Evans poślizgnął się i upadł, dostając wstrząśnienia mózgu. Umarł on, prawda, zupełnie naturalną śmiercią, lecz zadał naszemu gronu straszny cios. Zresztą i te zdarzenia mają, w porównaniu z tem, co spotkało nas dalej u podnóża gór. Byłem zupełnie pewien, że plan naszej podróży był ułożony dobrze, i wszystko to, co było potrzebnem dla pomyślnego wyniku wyprawy, było załatwione. Ale nikt nie spodziewał się, iż o tej porze spotkamy tak zmienną i straszliwą pogodę. Między 86° i 85° pół. szer. mróz dochodził

do 20—30 F., a na 82° temperatura dniem trzymała się — 30°, a w nocy spadała do — 47°. Oprócz tego prześladował nas przeciwny wiatr, utrudniający podróż. Powtarzam, że główną przyczyną naszej zguby była fatalna pogoda. Mieliliśmy tyle niepowodzeń, iż myślę, że nigdy i nikt tyle nie wycierpiał, ile przeżyliśmy w ciągu jednego miesiąca. Powiem, że nawet pomimo wszystkich tych strasznych warunków, zwyciężylibyśmy, gdyby nie ciężka choroba Oatesa, gdyby jakimś dziwnym, niezrozumiałym zbiegiem okoliczności w naszych składach nie zabrakło opału, i gdyby wreszcie, nie groźna burza, która powaliła nas w 11 milach od tego schroniska, gdzie znajdowały się zapasy w dostatecznej ilości dla naszego ocalenia.

„Cios ten był szczytem naszych niepowodzeń. Zatrzymaliśmy się w jedenastu milach od schroniska, mając opału na jedną tylko ciepłą strawę i pożywienia na dwa dni. Nielitościwa burza zatrzymuje nas cztery dni i tem uniemożliwia ratunek. Siły nas opuściły; z trudem nawet piszę. Zeznając, że umieram, wcale nie żałuję, iż puściłem się w tę podróż, ona bowiem pokazała mi, ile Anglik potrafi przenieść trudów i niepowodzeń, jak pomagać jeden drugiemu w chwilach niedoli, jak śmiało spotyka przybliżają-

cą się śmierć. Ryzykowaliśmy, świadomie, wiedząc, na co idziemy. Wszystko było nam przeciwne. Jednakże nie mamy powodu do skarg i tylko dziękujemy woli Opatrzności, iż dała nam siły walczyć i wypełnić to, co było w naszej mocy.

„Jeżeli sądzono nam było oddać życie dla dobra ojczyzny, to zwracam się z prośbą, tylko z prośbą, do swych rodaków, by zabezpieczyli los tych bliskich nam ludzi, dla których byliśmy podporą. Gdybym żył dłużej, to opowiedziałbym o tych strasznych cierpieniach, o tej wytrzymałości i męstwie mych towarzyszy podróży, opowiedziałbym tak, iż bezwątpienia poruszyłoby się serce śnieżna pustynia. Ocalenie było niedaleko, skostniałe ciała dopowiedzą wam resztę o nas, lecz naprawdę, taki wielki i bogaty naród, jak nasz, powinien w należyty sposób zabezpieczyć los tych naszych bliskich, którym nas zabraknie, a którzy potrzebowali naszej pomocy. 25-go marca 1912 roku. Robert Scott“.

Scott dumnie i twórczo żył, bohatersko umarł. „Był to, powiada Markham, — jeden z najpiękniejszych charakterów, jaki świat wydał w naszym pokoleniu“. Czytając o smutnym losie kapitana Scotta i jego towarzyszy, jedni mogą ubolewać nad przed-

wczesnym i tragicznym ich zgonem, a inni mogą tylko zazdrościć, że los pozwolił im tak pięknie złożyć życie na ołtarzu wiedzy.

POMOC — ZBYT PÓŻNO!

Inni towarzysze Scotta ,którzy pozostali na wybrzeżu, w głównym postoju, widząc przybliżającą się zimę i raptowne pogorszenie pogody, wreszcie niepokojąc się tak długim opóźnieniem swego kapitana, starali się przyjść mu z pomocą, wysyłając jeden za drugim oddziały ratunkowe, lecz te, nie zważając na wszelkie możliwe wysiłki, nie mogąc podolać burzom i niepogodzie, i przejść znacznej odległości w południowym kierunku. Nastąpiła zima, a wtedy o pomocy nawet i myśleć było niemożliwym. Wreszcie zima przeszła, nastąpiło podbiegu nowe lato, a Scott nie powracał. Nie było już żadnej wątpliwości, iż grono śmiałków zginęło w drodze. Jednakże w pierwszych dniach lata wysłano dwa oddziały, aby przyjść z pomocą ewentualnie pozostałym przy życiu członkom wyprawy, lub odnaleźć miejsce ich wiecznego spoczynku.

30 października oddziały ratunkowe, jeden pod kierownictwem Wrighta, drugi dr. Atkinsona, wyruszyły na nowe poszukiwa-

nie, idąc w kierunku, w jakim miał powracać Scott. Po niezbyt długich poszukiwaniach, 12 listopada, udało się wreszcie dr. Atkinsonowi natrafić na namiot kapitana Scotta. Weszli do wnętrza i oczom ich przedstawił się straszliwy obraz, tej całej tragedji, jaką przeszedł kapitan Scott wraz ze swymi towarzyszami. W głębi namiotu, jedno obok drugiego leżały ciała Wilsona i Bowersa, owinięte w futrzane wory noclegowe; widocznie ci nieszczęśliwi próbowali zasnąć, aby snem zagłuszyć świadomość przybliżającej się śmierci. A dalej znajdował się Scott, oparty o słup namiotu, sztywny, skostniały. Umarł, siedząc spokojnie, nie walczył z nadchodzącą śmiercią. Jako śmiertelną poduszkę podłożył swój własny pamiętnik, przycisnąwszy mocno głową to najdroższe i najcenniejsze dla siebie dzieło, i w ten sposób, jakby raz jeszcze żegnając umiłowaną sprawę, dla której oddał życie, jakby obcując po raz ostatni z tymi najdroższymi, do których były skierowane ostatnie słowa, ostatnie przedśmiertne myśli, skreślone drętwiejącą już ręką.

Odział dr. Atkinsona odprawia żałobną mszę, pozostawia zwłoki bohaterów tak, jak się znajdowały, a na nietknięty namiot zasypuje kurhan z krzyżem na szczycie,

tworząc swoiste polarne mauzoleum. Następnie stara się odnaleźć miejsce wiecznego spoczynku kapitana Oatesa. Wszystkie jednak wysiłki były daremne, śniegi pogrzebały go tak starannie, iż nie pozostało żadnego śladu jego zwłok. I tylko w miejscu, gdzie według pamiętnika kapitana Scotta przypuszczalnie mógł spocząć Oates, na cwałę umarłemu był usypany kurhan i wbity krzyż.

Przez długie czasy kurhanów tych nie zniszczą lody, nie zwałą burze, nie pożrą Nielitościwe żywioly. I przez długie wieki będą tkwić samotne kurhany, w śnieżnej martwicy, jako symbol śmiałości i ofiarności w dziele zdobycia ziemi.

„Terra Nova“ wkrótce opuściła tak niegościnną Antarktydę i szczęśliwie powróciła do Nowej Zelandji. Tu oczekiwała żona kapitana Scotta, która wyruszyła w tak daleką podróż, by jak najprędzej powitać swego i ojczyzny bohatera. Los poskąpił jej tej przepięknej i wzniosłej chwili i zamiast uśmiechu i radości okrył ją głęboką żałobą i nieutulonym żalem.

Wiadomość o tragicznym zgonie kapitana Scotta rozniosła się szybko po całym świecie i wstrząsnęła społeczeństwem an-

gielskiem. 14-go lutego 1913 roku w londyńskim kościele św. Pawła na cześć bohaterów odbyła się msza święta, na której byli obecni król i królowa. Głos kapitana Scotta, wzywający o pomoc dla pozostałych rodzin po zaginionych, znalazł szeroki posłuch i wkrótce zebrano tam znaczne fundusze, że nie tylko zabezpieczyły los osierconych, lecz dały możność należytego uczczenia pamięci bohaterów.

Zdobycze naukowe całej tej wyprawy były bardzo znaczne. Zebrano obfite materiały, rzucające po raz pierwszy światło na geologiczną przeszłość Antarktydy; zrobiono liczne spostrzeżenia magnetyczne, i meteorologiczne, przeprowadzono obserwacje oceanograficzne, wreszcie tu i owdzie wykonane były zdjęcia topograficzne. Co najważniejsze, zdobyto, za tak drogą cenę, biegun południowy. Prawda, Amundsen, idąc inną i krótszą drogą, był o cały miesiąc wcześniej u bieguna, ale czy ten fakt może choć trochę zmniejszyć zasługę i chwałę kapitana Scotta, który ogłosiwszy całemu światu swój plan, śmiało kroczył ku jego wykonaniu? Niema żadnej wątpliwości, że gdyby liczne niepomyślne okoliczności nie stanęły mu na drodze, nie byłby tak niespodziewanie wyprze-

dzony. Czyż można w tym winić go? Czyż fakt prawie równoczesnego pobytu u biegun przez Amundsena zmienia wartość całej wyprawy i odejmuje zasługi tym, którzy przy warunkach daleko trudniejszych, niż napotkał Amundsen, dotarli do celu, płacąc za to życiem? A czy cały szereg niepowodzeń, nieszczęść, wreszcie tragiczny zgon nie jest dostateczną ceną ich chwały? Jeżeli wziąć pod uwagę, że kapitan Scott działał według bardzo dobrze ułożonego planu, zaakceptowanego przez Królewskie Tow. Geograf., to największe w świecie zbiorowe ciało naukowe w dziedzinie geografji, działał zawsze w dobrej woli i ściśle według z góry powziętego planu przy bardzo trudnych i niepomysłnych warunkach, to z całym uznaniem należy przyznać mu ten hołd, który Anglja złożyła jego imieniu. Jeżeli wreszcie przyjąć pod uwagę ten bardzo ważny fakt, że zdobycze Scotta w pierwszej jego ekspedycji antarktycznej nie tylko pomogły, lecz nawet i umożliwiły Amundsenowi dosięgnąć biegun, to trzeba z całą sprawiedliwością, nie zmniejszając zupełnie zasług Amundsena, palmą pierwszeństwa uwieńczyć Scotta. **KONIEC.**

O następnej książce patrz na odwrocie.

NASTĘPNA KSIĄŻKA NR. 20.

KAZIMIERZ SIEROSZEWSKI

J. K. MOŚĆ SISOWAT, KRÓL KAMBODŻY.

Syn znakomitego pisarza, p. Kazimierz Sieroszewski, zdaje się, odziedziczył po ojcu talent pisarski. Redakcja „biblioteczki hist.-geogr.” będzie szczęśliwa, jeśli ta jego pierwsza książeczka da początek długiemu szeregowi prac.

Tematem jej są żywo pisane wspomnienia p. Paoli, komisarza policji francuskiej, który z reguły był wydelegowywany przez rząd francuski do boku panujących, przyjeżdżających zwiedzać Francję. Kłopoty, jakie miał ze swymi wysoko postawionymi pupilami — dzikim szachem perskim, beztroskiem i krotofilnym Sisowatem, a nawet... z belgijskim Leopoldem II — zawierają tyle momentów komicznych, że tu prawda historyczna żeni się z farsą, a farsa — z życiem.

Książkę zdobią 4 ilustracje.

DO NOWYCH, JESZCZE NAM NIEZNANYCH, PRZYJACIÓŁ....

Świat przez 6000 lat swych dziejów, o których nam coś wiadomo, był areną tylu rzeczy ciekawych i nie do wiary, że dosyć je tylko dobrze poznać, aby wobec tej rzeczywistości zbladły najbujniejsze twory fantazji literackiej. Tą fantazją, zwłaszcza w lichych przekładach, opychają Polskę.

W myśl naszego hasła „nie kłamać — bawiąc, nie nudzić — uczyć“, wydajemy już oto 19-tą książeczkę. Znajdzie w niej czytelnik nasz prospekt za zeszły kwartał i za bieżący. Prospekt całoroczny, przesyłamy po otrzymaniu znaczka 15 gr.

Prenum. kwartalna wynosi obecnie 2 zł. 60 gr. (13 książeczek wraz z przesyłką do domu). Przyjmujemy prenumeratę i za kwartał zeszły, wysyłając przy pierwszej ekspedycji zaległe książeczki tego i zeszłego kwartału. Radzimy to skutecznie, albowiem w kwartale zeszłym rozpoczęliśmy 5 cykli, które teraz kontynuujemy (aczkolwiek każda książeczka stanowi oddzielną, skończoną całość). Przy opłaceniu I i II kwartału tego roku wysyłamy jako premjum książkę rachunkową „Budżet Domowy“ (z autografem Grabskiego).

Uprzedzamy, że w cyklu na ten kwartał tylko osiem książeczek nadaje się do zalecenia dla młodzieży.

M. WAŃKOWICZ
„STRZĘPY EPOPEI”

II-e wydanie cena 1 zł. 80 gr.

GŁOSY O KSIĄŻCE.

Książkę przeczytałem z najgłębszym wzruszeniem.

Stefan Żeromski.

(list 21—XII—23).

„KURJER WARSZAWSKI” 21 — XII — 23.

Opowiadanie te od pierwszej do ostatniej strony czyta się nie tylko z zajęciem, lecz ze wzrastającym ciągle przejęciem i wzruszeniem... Są to jakby karty z doskonałej powieści batalistycznej, pełnej uroku i życia. Tu już autor przedzierza się w belestrystę, świadomego swoich celów i środków, którym rozporządza, proza jego nabiera barwy i rytmu, a język podnosi się do wyżyn artyzmu.

Zdzisław Dębicki.

„KURJER PORANNY” 3 — III — 24.

Słusznie Wacław Sieroszewski w przedmowie do tej pięknej książki podnosi jej szczerotę, prostotę i majestat... Strzępem epopei są dzieje nieznanego żołnierza Pasika... Wspaniałym rycerskim rapsodem jest wyprawa i śmierć płk. Mościckiego... Opowieścią budzącą gorycz, wstyd i upokorzenie jest „Noc z 21 na 22 maja w Łszym Korpusie Wschodnim”. Opowiadanie komendanta pancernego pociągu Stanisława Małagowskiego, wpada miejscami w rytm pieśni rycerskiej. Prostota sięga tu wyżyn wielkiej sztuki. Posłuchajmy tylko wspaniałej rytmiki słowa... Każde słowo brzmi jak czysty śpiz. Każde słowo błyska ogniem i mieczem.

Juljan Ejsmond.

„ŚWIAT” Nr. 12 — I — 24.

„Strzępy Epopei” napewno będą czytane nie tylko przez pokolenie nasze. Sięgnie po nie historyk, weźmie do rąk i wnuk ze wzruszeniem. Jest to już przecież relikwia...

Eustachy Czekalski.

„POLSKA ZBROJNA” 21 — 4 — 24.

Książka p. Wańkowicza jest specjalnie ciekawą dla oficera. Daje mu bogaty materiał myślowy, nie tylko opis kilku epizodycznych wypadków.

Kpt. Konrad Libicki.

„CZAS” 11 — X — 23.

Autor, szukając prawdy, znalazł przedewszystkiem piękno.

Prof. Sinko.

„MYŚL NIEPODLEGŁA” 24 — 4 — 24.

Jest to jedna z książek, które się czyta jednym tchem, a zamyka ze wzruszeniem.

Adam Niemojewski.

M. WAŃKOWICZ.

„SZPITAL W CICHINICZACH”

15 ilustracji.

Cena 95 gr.

Są to przeżycia czterech siostr miłosierdzia korpusu gen. Dowbor-Muśnickiego.

Dzicz bolszewicka wybiła cały personel szpitala. Oblegane ze wszystkich stron, pozbawione strawy i opału, mające na opiece dwudziestu ciężko chorych, siostry-bohaterki przeżyły sześć strasznych dni, które obfitują w niesłychanie dramatyczne momenty. Książka ta, malująca fakt rzeczywisty, tchnie wielkiem umiłowaniem ojczyzny, wiarą w męstwo ludzkie i w sprawę, o którą walczył nasz żołnierz.

Obie książki p. Wańkowicza zostały zalecane dla bibliotek żołnierskich rozkazem III oddz. Szt. Gen. l. 479/OK z 27.1 26 r. i nadają się w wysokim stopniu dla młodzieży.

TO — TO

TYGODNIOWY MAGAZYN ILUSTROWANY

- TO TO właśnie pismo, na które czekałeś, czytelniku!
- TO TO czego szukałeś dotychczas napróżno wśród mnóstwa pism krajowych i zagranicznych.
- TO TO pismo, które odtąd co tydzień będziesz kupował i czytał.
- „TOTO” — to właśnie to!
- „TOTO” — tygodnik nowego typu.
- „TOTO” — pełne ilustracji, fotografii, rycin, rysunków, karykatur.
- „TOTO” — aktualne, pouczające, niezwykle, ekscentryczne, dowcipne.
- „TOTO” — najciekawsze, najtreściwsze, najlepsze, ale nie najtańsze.
- Są pisma tańsze, niż „TOTO”,
 Są pisma droższe, niż „TOTO”,
 ale żadne nie jest tak ciekawe i wszechstronne jak „TOTO”.
- „TOTO” — zastąpi ci wszystkie inne pisma, gdyż znajdziesz w niem wszystko:
- 1) Nowelę fantastyczną, podróżniczą, sensacyjną, kryminalną.
 - 2) Przygody odkrywców na lądzie i morzu.
 - 3) Opisy życia i obyczajów egzotycznych narodów.
 - 4) Popularne artykuły naukowe z dziedziny techniki i przyrody.
 - 5) Najnowsze wynalazki.

- 6) Radjo, kino, teatr, piosenkę.
- 7) Wiedzę tajemną, magję, astrologję, alchemję.
- 8) Sport, mody, kącik dla smakosów.
- 9) Humoreski, parodje, satyry, groteski,
- 10) Rozrywki umysłowe, konkursy, ankiety, wywiady.
- 11) Curiosa, osobliwości, ekstrawagancje, galerję dziwaków.
- 12) Panoramę najciekawszych wydarzeń z całego świata.
- 13) Przegląd wszystkich ilustracyj i magazynów Europy i Ameryki.
- 14) Wycinki z prasy prowincjonalnej.
- 15) Filatelistykę, grafologję, bioljografję.
- 16) Dodatek „Dla dzieci” — pismo dziecinne, którego jedyni współpracownikami będą dzieci.
- 17) Tutti frutti.
- 18) Listy czytelników, autografy znakomych pisarzy i polityków.
- 19) Latarnię czarnoksięską przeszłości: ciekawostki historyczne tajemnicze karty dziejów.
- 20) Dokumenty śmieszności i głupoty ludzkiej.

„TOTO” — żywe, zwięzłe, zajmujące, ostre, dosadne.

„TOTO” — ogłaszać będzie co tydzień konkurs z wysoką nagrodą pieniężną.

„TOTO” — 16 do 24 stron pouczającej, ciekawej i barwnej lektury.

„TOTO” — przeznaczone jest dla wszystkich. Z jednakowem zaciekawieniem czytać je będzie uczeń i profesor, robotnik i fabrykant, wnuczka i babcia, dorożkarz i literat, policjant i minister, pacjent i lekarz, kobieta i mężczyzna.

najlepszy podręczny poradnik

niezbędny dla każdego kupca, handlowca, bankowca, działaczy komunalnych, urzędników, młodzieży kształcącej się zawodowo i wogóle każdego, pragnącego pogłębić swą wiedzę.

Prenumerata kwartalna za 9 tomików złp. 5.40.

Oddzielny tomik 75 gr.

Już się ukazały:

Wizytator szkół handlow. prof. J. Szyca „Zasady księgowości“.

Dyrektor szkoły handl. prof. Cezak „Geografia gospodarcza“.

(12 wykresów i 2 mapki).

Szczegółowe prospekty wysyłamy na żądanie darmo.

Tomiki okazowe za przesłaniem znaczków pocztowych za 75 gr.

Tow. Wyd. „Rój“, Warszawa, Kredytowa 1.
Konto P. K. O. 9880.

Na składzie: Wizyt. szkół handl. M. W. R. i O. P. W. Byszewski „Rozwój szkolnictwa handlowego w Polsce“, cena 1.50, cenne dla pedagogów.

Niezbędne dla płatników podatków!

Poradnik buchaltera w opracowaniu „Buchalterów Rzeczoznawców“ „Jak dostosować księgi handlowe do ostatnich przepisów o państwowym podatku przemysłowym i dochodowym“, cena 80 gr.

Winię nabyć każdy w celu uniknięcia dotkliwych strat.

Żądać w Tow. Wyd. „Rój“,

Warszawa, Kredytowa 1.

Konto P. K. O. 9880 i we wszystkich księgarniach.

<http://rcin.org.pl>



1015

BIBLIOTECZKA
HISTORYCZNO - GEOGRAFICZNA

Prospekt na IV kwartał 1925 r.

J. Tuwim. — Z cyklu Satanicznego „Czarna msza”.
W. Melcer i Rutkowska. — Z cyklu „Słynni kochankowie” „Soliman I i Roksolana”.

Jerzy Łużyc. — „Kazń Mikołaja II”.

Juljan Ejsmond. — „Żywot Nerona” przekład ze Swetonjusza.

Jerzy Bandrowski. — Z cyklu „Pioruny i błyskawice Wschodu” „Timurlenk” (Krwawa epopeja Azji).

Dr. O. Górka. — Z cyklu „Jak umierali wielcy ludzie?” „Mord Cezara i śmierć Kleopatry”.

Wanda Melcer-Rutkowska. — „Żelazna dziewica”.

Sf. Sierosławski. — „Naszyjnik królowej”.

Dr. Olgierd Górka. — „Bohaterowie krzyża”.

Dr. Oskar Skarbek i Tluchowski. — „Kurtyzany Rzymu w epoce odrodzenia”.

Dr. J. P. Zajączkowski. — Z cyklu „Słynni kochankowie” „Jak starsza panna uwodziła pięknego chłopca”. (Lauzun i Luiza de Montpensier).

J. Tuwim. — „Tysiąc dziwów prawdziwych”.

L. Brun. — „Gwiazdy filmowe”.

Tow. Wyd. „RÓJ” S. z o. odp.

Warszawa, Kredytowa 1, konto P. K. O. 9880.
Zaległe książeczki przesyła się natychmiast po otrzymaniu przedpłaty.

Nie kłamać — bawiąc, nie nudzić — ucząc.

BIBLIOTECZKA HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA
w kwartale I-ym 1926 r.
(Gwiazdka zaznaczono odpowiednie dla młodzieży).

1. W. MELCER-RUTKOWSKA. Z cyklu *Słynni kochankowie*. „*Naga nimfa i jednoręki cyklop*”.

2. ADAM NOWICKI. Z cyklu *Zmierzch Habsburgów*. „*Tajemnica pochodzenia Franciszka Józefa*”.

3. J. TUWIM. Z cyklu satanicznego. „*Tajemnice amuletów i talizmanów*”.

* 4. DR. O. GÓRKA. Z cyklu *Jak umierali włelcy ludzie?* „*W majestacie śmierci*”.

* 5. JERZY BANDROWSKI. Z cyklu *Pioruny i błyskawice wschodu*. „*Skandenberg — lew Albanji*”.

* 6. PIOTR LOT. Z cyklu *przeżyć osobistych* p. t.: *Na krwawych piaskach Afryki*. „*Biały burnus i czarne oczy*”.

* 7. J. EJSMOND. „*Zabobony myśliwskie*”.

* 8. PROF. DR. ST. NOWAKOWSKI. Z cyklu *Zdobycy i odkrywcy świata*. „*Kapitan Scott*”.

* 9. LEON CHOROMAŃSKI. „*Z tronu na szafot*”.

* 10. ST. CIESZKOWSKI. „*Piękna Doboszanka*”.

* 11. WACŁAW SIEROSZEWSKI. Z cyklu *Na szlakach świata*. „*Ciupasem na Syberję*”.

* 12. ST. SZTRUMPF-WOJTKIEWICZ. Z cyklu *Cmentarze na dnie oceanów*. „*Korsarze 1914 r.*”.

13. M. KUNCEWICZOWA. „*Tseu-Hi, władczyni bokserów*”.

Prenumerata kwartalna 2 zł. 60 gr.

Na zamówienie pocztówką ekspedujemy przy 1-ej książeczce czek P. K. O. 9880.

Two Wydawnicze „Rój” s. z o. o. Warszawa, Kredytowa 1.

<http://rcin.org.pl>

